

Aby rozpocząć lekturę,
kliknij na taki przycisk ,
który da ci pełny dostęp do spisu treści książki.

Jeśli chcesz połączyć się z Portem Wydawniczym
LITERATURA.NET.PL
kliknij na logo poniżej.



Paweł Huelle

OSTATNI KWADRANS

(Z kroniki rodzinnej Schopenhauerów)

Tower Press 2000

Copyright by Tower Press, Gdańsk 2000

Scena I.

Osoby:

Fryderyk II Pruski, zwany Wielkim, król Prus. W tej scenie liczy sobie lat 61.
Henryk Floris Schopenhauer, kupiec i patrycjusz gdański, ma lat 26.

Berlin, lato, rok 1773. Wnętrze rokokowego gabinetu Fryderyka Wielkiego. Okrągły stół, na nim mapy, przy stole dwa krzesła. Kominiek. Zegar wskazujący dokładnie godzinę 6'30 rano, dzwoni kurant. Fryderyk siedzi przy stole, pochylony nad mapą Pomorza i Prus. Henryk Floris siedzi na przeciw monarchy w pozie wyrażającej grzeczny szacunek, ale dość swobodnej. Przez uchylone okno do gabinetu wpada dźwięk porannego trylu ptaków.

Henryk Floris:

By skończyć, powiem wasza wysokość, że to sprawa honoru.

Fryderyk:

Dobrze słyszę? Henryk Floris Schopenhauer, kupiec zbożowy z Gdańska, poucza króla Prus o zasadach honoru. Powinni to wydrukować w londyńskim „Times”. Prenumerujesz go.

Henryk Floris:

Nie ośmielałam się pouczać waszej wysokości. Ja tylko...

Fryderyk:

Więc nie?

Henryk Floris:

Moi przodkowie nie byli niczymi poddanymi. I ja nie pragnę takiej łaski.

Fryderyk:

Bzdury! Byliście i jesteście sługami pieniądza.

Henryk Floris:

Do Gdańska przyszło pismo z Warszawy...

Fryderyk:

Od polskiego suwerena, to chciałeś powiedzieć? Waszym suwerenem zawsze było złoto. I nie mieliście innego, panowie kupcy. A niedołęga Poniatowski przelknie wszystko, co poda Katarzyna, choćby i w złotym nocniku. Nie pojmujesz polityki Schopenhauer.

Henryk Floris:
Pojmuję dobrze. Ale jest jeszcze...

Fryderyk:
Cóż takiego? Czy król Prus coś przeoczył?

Henryk Floris:
Pozwolę sobie raz jeszcze powtórzyć to, co król Prus usłyszał od kupca zbożowego z Gdańska na początku tej rozmowy: point de bonheur sans liberte.

Fryderyk raptownie wstaje, odsuwa krzesło, podchodzi do okna. Henryk Floris również unosi się i staje za swoim krzesłem, z jedną dłonią opartą na rzeźbionym fryzie. Fryderyk uchyla szerzej okno i mówi do Henryka Florisa odwrócony do niego plecami.

Fryderyk:
Siadaj. Powiedziałem - siadaj.

Henryk Floris przesuwa swoje krzesło, ale nie siada. Przez otwarte teraz szeroko okno wdzierają się dźwięki musztry: krok marszowy oddziału piechoty, werble. Słychać komendy: Habacht!! Ruhe!! Odgłos trąbki.

*Fryderyk przymyka okno. Wraca do stołu. Siada.
Henryk Floris również siada.
Fryderyk pokazuje na mapie Gdańsk.*

Fryderyk:
I to są właśnie plagi miasta Gdańska!! Złota wolność. Zupełnie jak Polacy. Ale ty nawet po polsku nie umiesz.

Fryderyk wybucha śmiechem.

Henryk Floris:
Jestem republikaninem, wasza wysokość.

Fryderyk:
Jesteś głupcem Schopenhauer.

Henryk Floris - niezbyt protokolarnie - uznaje, że audyencja jest skończona. Chce wstać. Fryderyk przechyla się przez blat stołu i chwytając gościa za przegub, osadza go z powrotem. Mapa Pomorza i Prus spada na podłogę.

Fryderyk:
Wczoraj, kiedy dostrzegłem cię w tłumie gapiów przyglądających się paradzie, miałem przecucie. I nie omyliłem się. - Kim jest ten, co tak wysoko nosi głowę? Mówią mi: - pierwszy w Gdańsku i nieostatni na londyńskiej giełdzie. Cóż stąd dzisiaj? Myślisz, że chciałem z tobą mówić o cenach zboża? Drewna? Dziegciu? A może skór wołowych? Ja wiem, wam wszystkim się wydaje, że kiedy odmawiacie królowi Prus, wtedy republikańska bogini porusza skrzydłem, wzruszona

cnotą swoich wiernych. Tylko że waszej cnoty starczy wam jeszcze na kilka lat!
(pauza) Czytasz Newtona?

Henryk Floris:

Czytam wszystko, co pożyteczne w moim zawodzie, Newtona tak dobrze jak Senekę, wasza wysokość.

Fryderyk wskazuje na leżącą na posadzce mapę.

Fryderyk:

Natura nie znosi próżni. Nie toleruje chaosu. Takie jest prawo gwiazd, planet, atomów, polityki. Czymże by ona była bez tej zasady? Twoje miasto nie leży na księżycu Schopenhauer.

Henryk Floris:

Istotnie wasza wysokość. Leży ono nad Bałtykiem.

Fryderyk wstaje. Henryk Floris również. Henryk Floris schyla się, usiłując grzecznie podnieść mapę z posadzki. Fryderyk przydeptuje ją obcasem. Henryk Floris wyprostowuje się, patrząc królowi prosto w oczy.

Fryderyk:

Jesteś głupcem. Wiesz przynajmniej dlaczego?

Henryk Floris:

Zapewne według waszej wysokości głupcem jest każdy, kto odmawia królowi Prus.

Fryderyk:

Chciałem ci dać szlachectwo. Tytuł. Kto wie, może zostałbyś ministrem w moim państwie. Co na to powiesz teraz?

Henryk Floris:

Niechaj król Prus z bożą pomocą rządzi swoim państwem, a kupiec zbożowy swoim kantorem, za pozwoleniem waszej wysokości - w wolnym mieście...

Fryderyk:

Dość.

Henryk Floris:

Kantorem w wolnym mieście.

Fryderyk:

Idź już Schopenhauer. Ta rozmowa trwała o kwadrans za długo.

Henryk Floris skłania głowę, odchodzi ku drzwiom. Fryderyk podnosi mapę z posadzki, ciska ją do kominka. Fryderyk do znikającego w drzwiach Henryka Florisa.

Fryderyk:

Voila les calamitees de la ville de Dansic!!

Za oknem znów słyhać werble. Kroki maszerującego oddziału.

Scena II.

Osoby:

Henryk Floris Schopenhauer, obecnie ma lat 46.

Joanna Schopenhauer, jego żona, lat 27.

Artur, ich syn, lat 5.

Tragarz I

Tragarz II - obaj w sile wieku.

Agata, rumiana służąca w stroju kuchennym.

Gdańsk, marzec, rok 1793. Salon mieszczański w domu Henryka Florisa i Joanny Schopenhauerów w ich domu przy ulicy Świętego Ducha. Widać, że to bogate i z angielska urządzone wnętrze, jest już pustawe - przed wyprowadzką. Tylko kilka małych sztychów ozdabia ściany, w pozostałych miejscach wyraźne plamy po zdjętych dopiero co obrazach. Kanapa i jeden fotel - wciśnięte w róg obok drzwi wejściowych do salonu - zaciągnięte pokrowcami. Tylko jeden lichtarz na kominku. Powyżej niego rzeźbiony fryz kamienny z dużym herbem Gdańska. Na kartuszu wyraźny napis złożonymi litrami: - „Die Konigl. Polnische u. Preuschische Hansee und Handels - Stadt DANZIG, Poln. GDANSKO im Lande Pomerellien”. Na środku salonu stół, trzy krzesła. Pod ścianą - obok kominka klawesyn - wydatnie nie na swoim miejscu; dalej oszklona, otwarta szafa biblioteczna, w której zostało trochę woluminów. Przy niej niezamknięty kufel wypełniony książkami. Ściana przeciwległa zdominowana jest przez ogromną, ciężką szafę gdańską, na której stoi pudło podróżne na kapelusze. Trzy okna. Na podłodze podwinięty dywan, pod nim typowo holenderska, w czarno - białe kwadraty posadzka. Wdzięczny byłby kot, najlepiej szaro-bury dachowiec.

Za oknami słychać co pewien czas powtarzający się, stłumiony odgłos werbli. Raz bliżej, raz dalej.

Do salonu wchodzi Artur, niosąc przed sobą taboret. Tuż za nim Joanna. Artur potyka się o podwinięty rulon dywanu, upada, puszczając z rąk taboret.

Joanna:

Nigdy nie patrzysz pod nogi! Mówiłam, żebyś uważał!

Artur szybko podnosi się na nogi i nie zwracając uwagi na matkę, ani na taboret, pędzi do okna. Wspina się na parapet. Przylepia twarz do szyby. Joanna podnosi taboret, ustawia go przy gdańskiej szafie, podwija suknię, wchodzi na taboret, usiłując bezskutecznie sięgnąć po pudło na kapelusze.

Joanna:

Ciebie o coś poprosić... Ojcu to oczywiście byś usłużył. Ale twojego ojca nie obchodzą moje kapelusze.

Joanna wspina się na palcach, dotyka pudła z kapeluszami, pudło spada na podłogę, osobno walcowaty tubus, osobno wieko. Joanna odwraca się powoli od szafy, chce zejść z taboretu; ale rąbek sukni zaczepiony o kant jego siedziska grozi

tym, że podczas zeskoku suknia pociągnie taboret ze sobą i ten przewróci się na Joannę.

Joanna:
Artur!

Artur odwraca twarz od szyby. Zeskakuje z parapetu. Podchodzi do pudła, unosi je, zagląda do środka, wzrusza ramionami, nakłada wieko.

Joanna:
Artur!!

Artur odstawia pudło. Dopiero teraz podchodzi do matki, uwalnia rąbek jej sukni, wreszcie podaje dłoń. Joanna dość niezgrabnie zeskakuje z taboretu. Artur natychmiast pędzi do okna i zajmuje poprzednią pozycję, obojętny na wydarzenia w salonie.

Joanna otrzepuje chusteczką pudło z kurzu.

Joanna:
Tyle razy mówiłam Agacie, żeby to stąd zabrała. I kto postawił to na szafie? Fu, ile kurzu. Ale jak państwo wyjeżdżają, kto by ich tam posłuchał.

Joanna (*do Artura*):
Takie ciekawe? Chodzą i bębnią. Bębnią i chodzą. Oszaleć można od tych obwieszceń. Tylko nie waż mi się otwierać okna. W marcu najłatwiej o zapalenie płuc.

Do salonu wchodzi dwaj tragarze. Joanna, otwierająca właśnie pudło, nie dostrzega ich.

Joanna:
Puste? To gdzie jest mój wiosenny kapelusz od pani Frossard? Artur, biegnij prędko do kuchni i powiedz, żeby Agata natychmiast przestała szykować prowianty i żeby tu przyszła.

*Artur zdaje się nie słyszeć matki.
Joanna dostrzega tragarzy.*

Joanna:
No, na co czekacie.

Tragarz I:
No bo proszę pani, pan Schopenhauer powiedział, żeby teraz klawesyn.

Joanna:
To bierzcie klawesyn.

Tragarz II:

Ale pani powiedziała, że instrument kupił pan Moser i żeby go na końcu znieść do sieni, nawet jak już państwo wyjadą, bo pan Moser jutro dopiero przyśle po instrument.

Joanna:

No to bierzcie książki.

Tragarz I:

Ale proszę pani, pan Schopenhauer powiedział, że książki to na samym końcu i że on sam jeszcze popatrzy które zostawić, a które do kufra.

Joanna:

Widocznie pan Schopenhauer nie panuje nad sytuacją. Pakujcie książki.

Tragarz II:

Tak proszę pani... ale które?

Joanna:

No to klawesyn.

Tragarze podchodzą do klawesynu.

Joanna (do Artura):

Artur, biegnij po ojca. Jest z panem Abendrothem w gabinecie. Albo nie, zostań.

Artur nawet się nie odwraca od szyby.

Joanna (do tragarzy):

Zaraz, zostawcie klawesyn. Ja sama pójdę po męża.

Joanna wychodzi z pudłem na kapelusze w dłoniach.

Tragarze podchodzą do szafy bibliotecznej i kufra. Tragarz I wyjmuje z półki książkę. Duka tytuł.

Tragarz I:

Cier pi enia mło de, młodego, We, Wetera!

Artur (nie odwracając się od okna):

Wertera!

Tragarz I:

Tak, Wertera. Dziękuję ci chłopcze.

Tragarz II (do Tragarza I):

To ty umiesz czytać?

Tragarz I:

A bo co?

Tragarz II:
A tu (*podaje książkę z półki*) co pisze?

Tragarz I:
Nie - pisze, tylko - jest napisane.

Tragarz II:
No.

Tragarz I:
Jest napisane - Ge org von Zi mmer mann - Osa, osam, osamo...

Artur (*jak wyżej*):
O samotności.

Tragarz I:
Dziękuję ci chłopcze..

Tragarz II do I:
To wszystko pan Schopenhauer napisał? (*do Artura*) Wszystko twój ojciec, chłopcze? (*do Tragarza I*) To kiedy on miał czas majątek robić?

Tragarz I:
Jesteś głupszy, niż pijany Kaszuba po jarmarku. Pan Schopenhauer nie pisze książek, tylko je czyta. No, pakujemy jak leci.

Tragarz II:
Ale przecie powiedział, że sam jeszcze sprawdzi, które.

Tragarz I:
To było wczoraj rano. Nie widzisz co się na ulicy dzieje?

Tragarze zdejmują książki z półek, bezceremonialnie wrzucają je do kufra.

Tragarz I:
Mówią, że jak Prusak wejdzie, to będzie lepiej dla nas, biednych. Dlatego panowie Rada i burmistrz tacy są źli. Podobno list do carowej ślali. Żeby pomoc przysła.

Tragarz II:
Aleś ty głupi. Lepiej nie powtarzaj tych bzdur przy panu, bo nie da napiwku. I gdzie to tak mówią?

Tragarz I:
W gospodzie pod Czerwonym Kurem.

Tragarz II:
Chyba Knurem.

Tragarz I:
Co?

Tragarz II:
Sprawdźmy, czy się wieko zamknie.

Na korytarzu - już przy kwestii Tragarza I - „W gospodzie pod Czerwonym Kurem” słyhać zbliżające się kroki Joanny i Henryka Florisa, a także fragment ich dialogu.

Joanna:
Ja wydaję polecenia, ty wydajesz polecenia, Adam urznął się nalewką, Agata ślęczy w kuchni, dziecko mnie nie słucha, konie czekają....

Henryk Floris:
O co ten hałas. O jeden twój kapelusz? O kilka moich książek?

Joanna i Henryk Floris wchodzą do salonu. Joanna cały czas trzyma w dłoniach pudło na kapelusze. Henryk Floris ma w prawej dłoni zwinięty plik papierów rachunkowych.

Joanna:
Pewnie, o nic. Najpierw popędzasz, wpadasz w furję, krzyczysz, że prędzej umrzesz, niż zobaczysz Prusaka przy ulicy Świętego Ducha, a potem zamykasz się z Abendrothem w gabinecie i wszystko zostaje na mojej głowie.

Tragarze właśnie zatrzasnęli kufer z książkami. Szafa biblioteczna jest zupełnie pusta.

Joanna:
A nie mówiłam? Widzisz? Widzisz? Mieli na ciebie czekać! *(do Artura)*: Artur, złaż natychmiast. Jeszcze się przeziębisz na drogę. *(do Tragarzy)*: Czy takie wam wydałam polecenie? Rozpakujcie to zaraz. Pan Schopenhauer musi wybrać lektury do podróży.

Artur odwraca się od okna, ale nie złazi z parapetu. Siedzi teraz twarzą do wnętrza salonu, machając nogami.

Tragarze otwierają kufer i chcą wyjmować książki.

Henryk Floris:
Zaraz. Wszystko się zmieściło? *(do Joanny)* No widzisz - o co robić zaraz tragedię. Myślałam, że kufer jest za mały. *(do Tragarzy)*: Bierzcie to na dół. Adam, służący nasz pokaże, gdzie załadować do powozu.

Joanna *(do Henryka Florisa ściszoneg głosem)*:
Czy ty nie słyszysz, co do ciebie mówię? Adam jest kompletnie pijany.

Henryk Floris:

Tak, zapomniałem, Adam zajęty jest czym innym więc pani Schopenhauer wskaże wam właściwe miejsce.

Joanna:

Ja mam migrenę. Powinnam się położyć. Henryku...

Tragarze unoszą kufel, wychodzą z salonu. Henryk Floris wychodzi za nimi.

Henryk Floris:

Tak, tak. Kto ma urojone lęki, ten zasługuje na prawdziwe.

Artur:

Seneka!!!

Joanna ciska na stół pudło na kapelusze. Patrzy na Artura.

Joanna:

Synku, przestań już, bardzo cię proszę...

Do salonu wpada Agata, w stroju kuchennym.

Agata:

Proszę pani, proszę pani, przyszła matka pani i siostry pani z prowiantami na drogę i teraz to wszystko rozpakowują w kuchni, więc ja nie wiem co i jak, żeby się nie pomieszało z tym co naszykowałam, no bo teraz pieczeni jest pięć, cztery szynki, serów będzie z pół tuzina, a ciast to chyba wszystkich nie da rady zjeść i do Hamburga.

Joanna:

Już idę Agato.

Joanna wychodzi za Agatą. Artur natychmiast zeskakuje z parapetu. Okrąża stół, skacząc po kwadratach posadzki ruchem konika szachowego. Nagle wpada na znakomity pomysł: podchodzi do ogromnej gdańskiej szafy, otwiera drzwi, wchodzi, zamyka się w środku.

W ostatnim ujęciu tej sceny widzimy z wnętrza szafy, przez wąską szparę, jak Tragarz I i II stoją oparci o klawesyn. Tragarz I zażywa tabaki i częstuje nią Tragarza II. Kichają. Śmieją się. Podnoszą instrument.

Scena III.

Osoby:

Joanna Schopenhauer, obecnie ma lat 48.

Artur Schopenhauer, jej syn, obecnie lat 26.

Adela Schopenhauer, jej córka, lat 16.

Weimar, rok 1814. Salon Joanny Schopenhauer urządzony trochę jak pracownia malarska, trochę jak świątynia muz. Sztalugi, draperie, mnóstwo bibelotów. Rokokowa szafa.

Adela siedzi przed sztalugą, szkicuje na płachcie papieru.

Artur przechadza się nerwowo z założonymi do tyłu rękami.

Artur:

I co jeszcze matka powiedziała?

Adela:

Jak będziesz mówił - matka - to nic nie opowiem.

Artur:

A jak mam mówić. Pani matka?

Adela:

Maman.

Artur:

No więc cóż ci twoja maman powiedziała?

Adela:

Moja? Nasza maman.

Artur:

Co powiedziała?

Adela:

Goethe przyszedł jak zwykle o piątej i usiadł o tu, gdzie zawsze. Wtedy maman podała herbatę i konfitury, jak zawsze. Goethe najbardziej lubi malinowe, te, które maman przyrządza według receptury pani Volpius, bo ona ma najlepszy przepis i w całym Weimarze nie zjesz lepszych konfitur malinowych niż u pani Volpius no i u nas.

Artur:

Bogowie!

Adela:

No więc Goethe zajada te konfitury, a wtedy maman pyta - „mistrzu - bo jak wiesz zawsze tak zwraca się do niego - mistrzu, czy twoim zdaniem pan Friedrich von Gerstembergk jest dobrym pisarzem?

Artur:
I co?

Adela:
Arturze, ty pobladłeś!

Artur:
Coż Goethe o tym Gerstembergku...

Adela:
Arturze, ile razy padnie to nazwisko, ty opuszczasz szczękę - o tak; zgrzytasz okropnie zębami - o tak; wytrzeszczasz oczy - o tak; i robisz się biały jak papier. Skąd ta nienawiść?

Artur:
Adelo, bardzo proszę, nie wystawiaj mnie na próbę.

Adela:
Przecież pan Friedrich von Gerstembergk jest najlepszym przyjacielem maman i opiekunem naszego domu.

Artur:
Odwrotnie.

Adela:
Słucham?

Artur:
Ta grafomańska fizjonomia jest najlepszym przyjacielem waszego domu i opiekunem twojej maman! A ty, czy i ty się w nim podkochujesz?

Adela:
Wstrętny jesteś bracie. Już nic nie powiem.

Artur zatrzymuje się przy sztaludze, kładzie dłoń na włosach Adeli, głaszcze siostrę. Spogląda na szkic.

Artur:
To Goethe ze swoim synem?

Adela:
Tak. Na przechadzce, opodal fos zamkowych.

Artur:
Rysujesz znacznie lepiej niż matka.

Adela:

Naprawdę tak uważasz?

Artur:

Przecież wiesz, że ja nigdy nie kłamię. No więc cóż Goethe?

Adela:

Goethe powiada do mamy - „moja droga przyjaciółko, wie pani doskonale, że to, czy Gerstemberg jest pisarzem wybitnym, czy ledwie miernym, w tym przypadku nie ma żadnego znaczenia i nie musimy tego uzasadniać ani też dociekać.”

Artur:

O, stary lis, jakbym go słyszał. Nigdy wprost, a już zwłaszcza o drugim pisarzu. Co dalej?

Adela:

Arturze, zwracam ci uwagę, że to powiedział Goethe!

Artur:

Goethe! Goethe! Niedługo na niemieckiej ziemi nie będzie już żadnego pisarza, żadnego poety, żadnego filozofa. Wszystkich zastąpi ten jeden geniusz, tajny radca dworu! I wtedy nikt już nie będzie musiał myśleć, pisać, tworzyć, badać, bo on sam wystarczy temu głupiemu narodowi idiotów.

Adela:

Arturze, proszę.

Artur:

Tak tak, przepraszam cię Adelo. Zapomniałem, że jesteście jego westalkami. Kapłankom nie przystoi słuchać bluźnierstw. Co było dalej?

Adela:

O Gerstembergku nic. A Ciebie Goethe bronił.

Artur:

Jak to - bronił mnie. Przed kim?

Adela:

Goethe składał nam wizyty zawsze w dni pocztowe. Maman, na kilka godzin przed jego wizytą odebrała twój list. Płakała, była roztrzęsiona, bo ty jej nigdy nie oszczędzisz. A Goethe ma genialną intuicję. I kiedy skończyli mówić o Gerstembergku, pyta - „moja droga przyjaciółko, przecież widzę, że coś cię trapi, otwórz swe serce przed poetą, śmiało..”

Artur:

O!

Adela:

Ty tego nie doceniasz, bo nawet nie wiesz, jaka mamana jest delikatna i dyskretna. Żadnego z twych grubiaństw, którymi lubisz faszerować do niej listy, żadnego z twoich słów szyderczych nie przekazała Goethemu...

Artur:

Szkoda.

Adela:

Powiedziała tylko - „mój syn rozdziera mi serce, od lat, właściwie od początku”.

Artur:

Czy Mistrz zapytał, co nasza matka chce powiedzieć, używając tak obrzydliwego, a zarazem haniebnie kłamliwego zwrotu, jak - „od początku!!!”

Adela:

Arturze, proszę. Goethe chwalił twoje prace. Mówił, że nie we wszystkim się z tobą zgadza, ale umysł masz wybitny i styl, jakiego nie ma Fichte, ani nawet Hegel.

Artur:

Proszę odpowiedz! Jak to skomentowa!!!?

Adela:

Arturze, ja tak nie potrafię rozmawiać.

Artur:

A może ona mu powiedziała - „mistrzu, przyjacielu drogi, odkąd poczułam w swoim łonie pierwsze poruszenie tego dziecka, już zaczęłam go nienawidzić, już czułam do niego odrazę!?” Nie powiedziała tak?

Adela cichutko płacze.

Artur:

- „I była to ta sama odraza, którą czułam od pierwszej chwili do mego starego męża!?” Nie powiedziała tego?

Adela:

Nie, nie, nie.

Adela ociera twarz chusteczką.

Artur:

- „Męża, którego wpędziłam do grobu”... Tego też nie powiedziała?

W drzwiach salonu staje odziana w spacerowy strój Joanna Schopenhauer. Nie może być pewności, czy słyszała ostatnie zdanie Artura, czy też nie. Rodzeństwo nie zauważa matki.

Adela:
Jesteś potworem.

Artur:
Prawda jest potworna.

Joanna:
Co tu się dzieje? Może i ja się czegoś dowiem? Arturze...

Adela podbiega do matki, przytula się do Joanny.

Adela:
Mamo, mamo.

Joanna trzyma córkę w ramionach.

Joanna (do Artura):
Przecież ci napisałam, że twoja obecność w naszym domu jest warunkowa. Miałaś zapowiadać swoje przyjazdy. To nie jest przydrożna karczma, do której można wejść w zabłoconych sztylpach jak napoleoński huzar, naubliżać służącej dziewczce i wyjść, trzaskając drzwiami!!

Adela:
Mamo, on tylko tak. To wszystko przez te jego czarne myśli.

Joanna (do Adeli):
Zawsze go bronisz. Cała jesteś roztrzęsiona. Mój boże, dziecko, ty masz dreszcze! Chodź, dam ci ziół pani Volpius, musisz się położyć.

Joanna (do Artura):
Zadowolony jesteś? Oto następna ofiara twojej filozofii.

Artur chce opuścić salon.

Joanna (do Artura):
Siadaj i czekaj tu. Musimy się rozmówić.

Joanna z Adelą wychodzą z salonu.

Artur znów chodzi tam i z powrotem nerwowymi krokami. Potyka się o krawędź dywanu. Staje. Patrzy na szafę. Drzwi rokokowego mebla są nieznacznie uchylone. Artur podchodzi do szafy, uchyla szerzej drzwi. Skrzypią okropnie.

Scena IV.

Osoby:

Henryk Floris Schopenhauer, lat 46.

Joanna Schopenhauer, lat 27.

Artur Schopenhauer, lat 5.

Adam, służący staruszek.

Gdańsk, marzec 1793. Ten sam co w scenie II salon w domu przy ulicy Świętego Ducha. W porównaniu ze stanem poprzednim - brak klawesynu, dywanu na posadzce i obecnych jeszcze w scenie II kilku sztuków na ścianach.

Scenę zaczyna ujęcie subiektywne z wnętrza szafy - okiem Artura. Ujęcie to może zostać powtórzone w decydujących momentach dialogu Joanny i Henryka Florisa.

Joanna przechodzi szybko przez salon i zatrzymuje się przy oknie. Zakrywa twarz dłońmi. Krok za nią podąża Henryk Floris, staje tuż za żoną, chce ją delikatnie objąć. Zniecierpliwiona Joanna odpycha ten gest męża.

Teraz ujęcie obiektywne.

Henryk Floris:

Przecież zaraz się znajdzie.

Joanna:

Sama byłam na strychu. Agata wołała w piwnicy. Obie przeszukałyśmy wszystkie pokoje.

Henryk Floris:

Nie rozumiem. Nigdy nie lubił zabawy w chowanego. Skąd teraz taki głupi żart?

Joanna:

Zrób coś Henryku.

Henryk Floris:

A może poszedł do Angielskiego Domu?

Joanna:

Posłałam tam Adama.

Henryk Floris:

Jest pijany!

Joanna:

Agata dała mu mocnej kawy.

Henryk Floris:

Ale tam go jeszcze poczęstują.

Joanna:
Najwyżej złamię sobie nogę na przedprożu. Albo wybije ostatnie zęby.

Henryk Floris:
Joanno!

Joanna:
Joanno, Joanno. Tylko tyle potrafisz powiedzieć. Wszystko już spakowane, konie czekają, zmierzch zapada, a twój synek płata nam figiel, za który sto różeg to za mało!

Henryk Floris:
Ja ciebie nie poznaję. Różgi? To jeszcze dziecko. Zawsze byłaś przeciwna takiemu wychowaniu.

Joanna:
Dziecko rozpuszczone przez ciebie do granic możliwości.

Henryk Floris:
A cóż ja takiego czyniłem w jego edukacji, co twoim zdaniem sprzyja rozprężeniu?

Joanna:
Wszystko.

Henryk Floris:
To nie odpowiedź.

Joanna:
Ja jestem od upominania i strofowania. Ty dla przyjemności.

Henryk Floris:
Nie rozumiem.

Joanna:
Oczywiście. Żaden mężczyzna tego nie rozumie, bo to dla was za trudne.

Joanna siada za stołem. Henryk Floris również.

Joanna:
No więc ci powiem. Ja - z Arturem. Od poniedziałku do soboty. Przy śniadaniu, w gotowalni, na spacerze, w ogrodzie, z książką, nawet przy kawie. Arturze tego nie rób, Arturze tego nie wolno, Arturze uważaj, Arturze. A raz w tygodniu szanowny pan ojciec po wyjściu z kantoru zstępuje jak Zeus na ziemię i wtedy zaczynają się: łakocie, zgadywanki, opowieści o dalekich miastach, skarbach i zatopionych okrętach.

Henryk Floris:
Przecież miałaś służbę i wszelkie dogodności.

Joanna:

I te twoje cytaty z filozofów, które mu w głowie przewróciły. Nawet twoje spacery z nim do portu...

Henryk Floris:

Objasniałem mu takielunek. A z liter na burtach składał pierwsze sylaby. Joanno, taka jest kolej rzeczy. Chłopiec zanim otrzyma guwernera, zanim poślą go do szkoły, zanim zacznie praktykować w kantorze ojca, pozostaje z matką. Pomyślałaś o tym?

Joanna:

A czy ty pomyślałeś kiedyś o mnie?

Henryk Floris:

Nie raz.

Joanna:

Że jestem nieszczęśliwa...

Henryk Floris:

Czegoś ci brakowało?

Joanna:

Pamiętasz Blancharda? Sprowadziłeś go w gości do dworu przy Polankach, zaraz po naszym ślubie. Pamiętasz jego balon nad miastem? Jego opowieści o niebezpiecznych lotach... Byłam taka szczęśliwa, taka oczarowana, taka rozmarzona. Blanchard - aeronauta. Blanchard - wynalazca spadochronu. Sławny w Paryżu, Brukseli, Petersburgu. Czyż nie miałam prawa, czyż nie mogłam wyrazić życzenia, aby polecieć wraz z nim w krótki lot? Pamiętasz? Zgromiłeś mnie, uroczą młodą żonę, przy nim - bohaterze, cudzoziemcu, gościu w naszym domu. Jak gdybym była dziewczką służącą. Zresztą - tak jak na mnie wtedy, nigdy nie podniosłeś głosu nawet na służbę.

Henryk Floris:

Joanno...

Joanna:

A wieczorem, kiedy Blanchard już odjechał - „Ja mogłaś wystawić mnie, Henryka Florisa Schopenhauera na takie pośmiewisko?!?”

Henryk Floris:

Joanno..

Joanna:

Przecież nie chodzi o to, że nie wzniosłam się z Blanchardem w gondoli balonu, ale o to, że sama taka myśl mogła się pojawić w mojej głowie i że ośmieliłam się

taką myśl głośno wyrazić. O to w istocie zrobiłeś awanturę. O to, że kobietom nie wolno wyrażać swoich pragnień.

Henryk Floris:
Ależ Joanno!!

Joanna:
Miałam dziesięć lat. Dzięki pani Chodowieckiej władałam francuskim, dzięki Jamesonowi - jak mało kto w naszym mieście - angielskim. Chciałam się uczyć malarstwa i rysunku u Chodowieckiego w Berlinie. I na czym polegała moja wina? Na tym, że wyraziłam głośno swoje pragnienie. Mój ojciec krzychał, zupełnie jak ty - „Jak mogłeś do tego stopnia zhańbić nazwisko Trosienerów, by pragnąć wykonywać takie zajęcia!!?”

Henryk Floris:
Czy szczęście dałby ci lot balonem? Albo trawienie rycin kwasem? To niedorzeczność.

Joanna:
Niedorzeczne jest wszystko, czego pragnie kobieta, jeśli nie dotyczy to macierzyństwa, zapasów na zimę, haftowania, bielizny, przepisów na pieczeń, leczenia niemowlęcej kolki, albo męzowskiej przyjemności w łóżku!

Henryk Floris:
Czytałaś książki i zurnale. Miałaś przyjaciół.

Joanna:
I wiecznie pusty dom.

Henry Floris:
Zapewniłem ci rozrywki godne twojego stanu.

Joanna:
I swój schopenhauerowski chłód.

Henryk Floris:
Często myślałem, że ty mnie po prostu nie kochasz. Że wyszłaś za mnie dla pozycji, majątku. Nawet to rozumiałem. Teraz czuję, że ty w ogóle nie potrafisz kochać...

Joanna:
Jeżeli przez miłość rozumiesz poświęcenie wyłącznie jednej osoby, na rzecz upodobań drugiej, to rzeczywiście - tego nie potrafię.

Henryk Floris:
Zawsze szanowałem twoje poczucie niezależnej duszy. I nie brukałem naszego małżeństwa drobnymi zazdrostkami.

Joanna:

Nigdy nie dałam powodu. Nawet na przejażdżki powozem w Oliwie, jeździłam z Arturem leśnymi drogami, żeby nikogo nie spotykać bez męża przy swoim boku.

Wchodzi Adam.

Henryk Floris:

Adam! Co w Angielskim Domu?

Adam:

Donoszę uprzejmie proszę państwa, że w Domu Angielskim zebrali się angielscy kupcy.

Joanna:

Do rzeczy!

Adam:

Angielscy kupcy trąbią rosyjską wódkę i piszą rewolucję!

Henryk Floris:

Co piszą?

Adam:

Rosyjską wódkę!

Joanna:

Piszą!!

Adam:

Aa, piszą to rezolucję. Do angielskiego monarchy o kilka fregat i pięć regimentów szkockiej piechoty pod komendą sir Davida Malcolma, w celu przegnania Prusaka i ten, przyłączenia naszego sławnego miasta do angielskiego Albionu.

Joanna:

Ale Artur! Przyprowadziłeś go?

Adam:

A jakże, ale nic z tego nie będzie proszę państwa, ani względem interwencji, ani względem przyłączenia, bo albiońscy kupcy się pokłócili zgoła nie po angielsku, ale po polsku, znakiem tego - od Sasa do Lasa.

Henryk Floris:

Artura tam szukałeś?

Adam:

No jakże. Stałem na środku sali i krzyczę - a nie było tu synka pana Henryka Florisa Schopenhauera, tego smyka co tu często przychodził patrzeć do was na modele okrętów jego królewskiej mości, na co mi odwrzasnęli - a daj nam spokój,

twój pan już przecie uciekł z Gdańska, jakże chłopczyk ma tu być, idź sobie spać, no tak mi powiedzieli. Artura nie widziałem.

Joanna:

Henryku, może wezwać straż? Może on wpadł do Motławy? Boże, boże..

Henryk Floris (*do Adama*):

Idź. Sprawdź jeszcze raz piwnicę i składzik obok sieni, bo pewnie Agata i pani tam go nie szukały.

Adam:

Tak jest.

Adam wychodzi.

Henryk Floris:

On zmyśla. Angielscy kupcy nie mogli tak o mnie powiedzieć - „uciekł z Gdańska”. Ja to miasto po prostu opuszczam.

Joanna:

Na razie siedzisz tu i czekasz na swojego synka, który zapadł się pod ziemię. Nic zresztą cię to nie obchodzi. Ważniejsze, co sądzą o tobie Anglicy.

Henryk Floris:

Dlaczego ty zawsze przypisujesz mi poglądy, których nie posiadam?

Joanna:

Gdyby cię obchodziło, już wezwałbyś straż, żeby przeszukała nabrzeża.

Henryk Floris:

Po pierwsze - straż zajęta jest czym innym. Po drugie - pewien jestem, że Artur nie opuścił domu. Nie wyszedł bez kubraczka i ciepłych butów na taką pogodę. A te są w sieni. Trzeba obserwować, myśleć, wyciągać wnioski. A nie popadać w histerię.

Joanna:

I kto to mówi? Mąż, który nigdy nie popada w histerię.

Henryk Floris:

Owszem, nie. Ty natomiast, czy jest ku temu przyczyna, czy jej nie ma, każdą chwilę napinasz jak cięciwę - do ostateczności. I nigdy nie pomyślisz, czy twoje otoczenie chce to znosić. Afektacja też musi mieć granice.

Joanna:

Zawsze podziwiałam twoją hipokryzję, Schopenhauer.

Henryk Floris:

Posuwasz się za daleko!

Joanna:
Aż do Londynu.

Henryk Floris:
Dość. Wystarczy!!

Joanna:
Otóż nie, nie wystarczy. Moja pamięć, w przeciwieństwie do afektacji, nie zna granic wykreślonych przez ciebie.

Henryk Floris:
Tamto wybaczyłaś mi.

Joanna:
Wybaczyłam, ale nie zapomniałam. Już w Calais, w hotelu Dasseina, kiedy czekaliśmy na statek oglądając linoskoczków, pamiętasz? Gdy ci wyznałam, że jestem przy nadziei, omal nie udusiłeś mnie ze szczęścia. Ale co było jego treścią zasadniczą? Twój potomek urodzi się w Albionie! Będzie Anglikiem! Obywatelom świata!

Henryk Floris:
Z tym się zgadzałaś.

Joanna:
A miałam inne wyjście? Myślałeś o wszystkim, ale nie o moim lęku, bólu, czy narastającym poczuciu samotności. Dla was poród to butelka szampana, zamówione dla żoneczki kwiaty, rachunek dla lekarza i gratulacje od pastora, nam zostawiacie lekką ręką resztę. Tak, chciałam być z matką, w otoczeniu sióstr, czuć się bezpieczną w tak okropnej chwili.

Henryk Floris:
Mówisz jak, jak..

Joanna:
Ladacznicą. Wiem. W waszym mniemaniu tylko ladacznicą może powiedzieć o powiciu dziecka - okropna chwila. Ale to jest okropna chwila. Od paru tysięcy lat nawet nie próbujecie sobie tego wyobrazić co czuje, co może czuć kobieta..

Henryk Floris:
Ty mówisz jak..

Joanna:
Kobieta rozwierająca swoje łono nie dla waszej rozkoszy, lecz dla nowego życia. Gdybyście choć raz poczuli smród wód owocowych pomieszanych z krwią i ten, właśnie ten a nie inny strach złączony z bólem, nikt z was nie ośmieliłby się nazwać takiej chwili cudowną, poetyczną, błogosławioną.

Henryk Floris:
Mówisz, jakbyś nie chciała tego dziecka!

Joanna:
Pragnęłam go nie mniej niż ty. Ale potraktowałeś mnie jak klacz: miałam ci dać rasowe źrebie, uszlachcone przez angielską metrykę. Tylko o tym myślałeś, tylko o tym mówiłeś, tylko to cię ekscytowało. A ja bałam się wszystkiego: w obcym kraju, w obcym mieście, wśród obcych, obojętnych ludzi. Przewyciężyłam to, bóg jeden wie jakim wysiłkiem, a ty byłeś zaskoczony moją zgodą bardziej, niż byłbyś wściekły z powodu mojej odmowy.

Henryk Floris:
Zadbałem o najlepszą dla ciebie opiekę.

Joanna:
Która przeszła twoje najśmielsze oczekiwania. I to najpierw wprawilo cię w zakłopotanie, a później w furję.

Henryk Floris:
Kłamiesz.

Joanna:
Dlaczego mam kłamać. Przed kim? W jakiej sprawie? Henryk Floris Schopenhauer złościł się, bo nagle jego młoda żona skupiła na sobie uwagę i serdeczność wszystkich. Kwiaty od Bremeńczyków. Książki od pani Hamilton. Zegarek od pana Tissaud. Codziennie, nawet polegając na szezlongu - podejmowałam gości i mogłam konwersować. O Blanchardzie, Kleiście, o Werterze, czy Yorriku. A ty nie mogłeś tego ścierpieć, że nagle, z przestraszonej, prowincjonalnej kury, twoja żoneczka przeistoczyła się w gwiazdę towarzystwa, której nadskakiwano tyleż przez wzgląd na jej poważny stan, co talent zjednywania serc. A przy tym - gdybyś choć jeden najlżejszy flirt mógł mi zarzucić. Ale nie. Tym szybciej rósł twój głuchy gniew. No i stało się jak zawsze. Najpierw zgrzytanie zębami, potem chmurne milczenie, złe spojrzenia, wreszcie głęboka melancholia, którą u ciebie leczy tylko jedno: raptowny wyjazd i gruntowna zmiana miejsca.

Henryk Floris:
Ty dobrze wiesz, co mówią doktorzy. Moja melancholia nie rodzi się z zazdrości. Są inne przyczyny, niekoniecznie wiadome.

Joanna:
Być może, ale..

Henryk Floris:
To przecież była straszna jesień. Miasto w listopadowej mgle od rana do wieczora. Tamiza wyglądała jak Styks. Ani jeden promień słońca nie wpadał do mieszkania nawet w południe. Ciągłe okropne, trupie światło lamp. Miałem złe sny. Zacząłem bać się o nasze dziecko. Musiałem coś postanowić! Londyn był trumną. Słyszałem, że w dokach wylega się zaraza.

Joanna:

Nie przypominam sobie, aby o tym pisano w „Times”. A nawet gdyby było tak istotnie..

Henryk Floris:

Trzeba było uciekać Joanno.

Joanna:

Ale ja byłam w siódmym miesiącu!! Tymczasem ty, jak pruski kapral zaprowadziłeś mnie do lekarza, po czym zmusiłeś do podróży!!!

Henryk Floris:

Troszczyłem się o ciebie, o dziecko. Londyn był okropny.

Joanna:

Troska? To wyglądało tak, jakbyś ty nie chciał tego dziecka! W Londynie czułam się już dobrze i bezpiecznie, wiedziałeś o tym doskonale. Żeby narażać mnie w takim stanie na morską burzę, żeby mnie potem trząść powozem tysiące mil, w grudniu, po zajazdach gdzie nocą zamarza woda w misce, po drogach gdzie pękają osie i powóz się wywraca, po wybojach od których codziennie rusza się w moim brzuchu płód, żeby mnie do tego przymusić, cóż mogłeś mieć za zamiar? Abym poroniła w jakiejś westfalskiej, czy pomorskiej karczmie. A może umarła. Tak myślałam Henryku. Ale jestem silna. I urodziłam ci zdrowego syna w Gdańsku. A teraz opuszczamy Gdańsk na zawsze, bo ty tak chcesz.

Henryk Floris:

Możesz tu zostać. Ja zabiorę Artura do Hamburga. Abendroth będzie ci wypłacał stosowne sumy. Twoja matka i ojciec będą szczęśliwi.

Joanna:

Mój biedny ojciec zbankrutował przez waszą politykę. Wyrzuciliście go z Rady. Dla was, dziedzicznych patrycjuszów, był tylko parweniuszem, który próbuje rozmawiać z Prusakami. A teraz? Zajmą miasto i wyrzucą go z wiejskiej dzierżawy, bo tę dzierżawę dostał z łaski waszej Rady, która była przeciw Prusom. Jest w tym logika?

Henryk Floris:

Nie ma żadnej, tak jak w miłości Joanno.

Joanna:

Wiesz za co cię kochałam? Za twoją dumę. Twoja odpowiedź królowi Prus obiegała całe nasze miasto. Byłam wtedy małą dziewczynką, ale już cię podziwiałam. Tak Henryku, podziwiałam.

Henryk Floris:

To było dwadzieścia lat temu.

Joanna:

A pamiętasz to lato w Oliwie? Rzuciłeś kantor, przygalopowałeś z Gdańska wierzchem i wołasz już od bramy - Joanno, Bastylia padła, Joanno, w Paryżu rewolucja!!

Henryk Floris:

Piliśmy maderę.

Joanna:

Ca ira Ca ira Ca ira!

Henryk Floris:

Ca ira Ca ira Ca ira! Powiedziałaś wtedy - wyjedźmy tam, gdzie są lepsze czasy!

Joanna:

Zamiast do lepszych czasów teraz wyjeżdżamy do Hamburga.

Wchodzi Adam.

Adam:

Byłem w piwnicy i w składziku. Artura nie ma. Ale...

Henryk Floris:

Ale?

Adam:

Bo Agata kazała mi państwu powiedzieć, że pan Abendroth słyszał od pani Helke, że straż wyłowiła dopiero co z Motławy topielca, znaczy się małego, chłopca lat koło pięciu i pan Abendroth ośmiela się sugerować, że byłoby dobrze dowiedzieć się...

Joanna:

Boże. W złą godzinę powiedziałam. Henryku. Henryku!! To nie Artur, prawda? Powiedz, że to nie Artur! Mówiłeś, że Artur nie mógł wyjść z domu, tak mówiłeś?! Nie stój tak Henryku!! Boże wielki. Adam! Przy którym to moście?!

Henryk Floris:

Zaraz to wykluczemy, oczywiście. A swoją drogą Arturowi rzeczywiście różgi się należą.

Wychodzą Henryk Floris, Joanna, za nimi Adam.

Drzwi gdańskiej szafy otwierają się. Artur wychodzi z szafy, biegnie przez salon ku wyjściu. Zatrzymuje się w pół drogi.

Artur (*niezbyt głośno*):

Mamo? Tato?

Cisza.

Artur zakrywa usta dłonią. Z tym gestem wolno wychodzi z salonu. Słysząc, jak zbiega po schodach.

Scena V.

Osoby:

Joanna Schopenhauer, lat 48.

Artur Schopenhauer, jej syn, lat 26.

Adela Schopenhauer, jej córka, lat 16.

Johann Wolfgang von Goethe, lat 65.

Salon w Weimarze jak poprzednio, rok 1814.

Artur stoi przy rokokowej szafie. Domyka skrzypiące drzwi.

Joanna po drugiej stronie salonu, przy sztaludze.

Joanna:

Po co znów przyjechałeś z Rudolstadt? Pastwić się nade mną i nad tym delikatnym dzieckiem? Podobno siedzisz tam w oberży „Zum Ritter” i piszesz dzieło. Więc siedź i pisz. Nam daj odetchnąć od twoich fanaberii.

Artur (*odwraca się od szafy, wyjmuje z kieszeni list od Joanny, czyta*):

- „Życie z tobą to koszmar. Dopóki będziesz taki, prędzej zniosę raczej każdą ofiarę, niż zdecyduję się na przebywanie twoje pod moim dachem. Bywałeś tutaj ledwie po kilka dni i zawsze oddychałam z ulgą, kiedy nas opuszczałeś. Twoja obecność jest zbyt uciążliwa. Twoje uwagi o okropnościach życia, twoje straszne miny, twoje nie znoszące sprzeciwu sądy, wszystko to wpędza mnie w zły humor. Posłuchaj więc: w swoim domu jesteś u siebie, lecz tutaj gościem. W dniach, kiedy przyjmuję, możesz u mnie jadać, pod warunkiem, że powstrzymasz się od tych pożałowania godnych dysput, które obrzydły także moim drogim gościom.”

Artur składa bardzo starannie list od Joanny, chowa go do kieszeni.

Artur:

Jak sądzisz, co powinien uczynić syn, po otrzymaniu takiego listu od własnej matki?

Joanna:

A co powinna zrobić matka? Ty w swoich listach oskarżasz mnie nieustannie o śmierć twojego ojca i o to, że się źle prowadzę. Tak, jesteś potworem. A ja jestem twoją matką. Więc mów, tylko krótko. Za kwadrans przychodzą goście.

Artur:

Na twoje pytanie odpowiem rzeczywiście krótko: zmień swoje życie. Na moje własne równie zwięźle: po takim liście od matki syn może uczynić tylko jedną rzecz. Ruszyć do jej domu, aby pożegnać się na zawsze. Oto więc jestem. Aby spojrzeć ci w oczy i powiedzieć - jakkolwiek długo będziemy żyli - ty i ja, więcej się już nie zobaczymy. Jeśli sprawy majątkowe będą tego wymagały, porozumiewać się będziesz ze mną przez Adelę.

Joanna:

Wszystko stawiasz na ostrzu noża. Napisałam przecież i to, jak bardzo liczę, że jednak trochę się zmienisz.

Artur:

Niewygodne prawdy powinny mieć pierwszeństwo przed wygodnymi nieprawdami. A prawdą niewygodną jest to, że się nienawidzimy. Wygodną nieprawdą natomiast byłoby mniemanie, że ty, lub ja, zmienimy swój pogląd na tę sprawę.

Joanna:

Dobrze więc. Skoro mamy się rozstać, może raz na zawsze wyjaśnię ci, że twój ojciec zginął z przyczyn zupełnie ode mnie niezależnych.

Artur:

Oto przykład wygodnej nieprawdy.

Joanna:

Przecież to nie ja wypchnęłam go przez okno, tylko jego własny lęk. Twój ojciec cierpiał na szczególny rodzaj ciężkiej melancholii. Całymi tygodniami zapadał w milczenie, do nikogo się nie odzywał. Polecenia handlowe wypisywał na małych karteczkach, potem i tego zaprzestał. A kiedy przynosiłam mu posiłek, potrafił uderzyć laską w stół i stłuc zastawę.

Artur:

Ty przynosiłaś mu posiłki? Gdybym nie był twoim synem, mógłbym uwierzyć, że stoję przed aniołem miłosierdzia. O, nie. Sprawy w Hamburgu miały się zupełnie inaczej. Mój biedny ojciec, dobry, chorowity, siedział przykuty do krzesła i byłby całkiem opuszczony, gdyby nie jego wierny służący, który spełniał misję Samarytanina. W tym czasie ty urządałaś przyjęcia, przyjmowałaś gości i doskonale się bawiłaś! Oto, czym jest miłość kobiety. Cały dom huczał wesołym śmiechem. Biszkopty, karty, wino, kawa. Jak w zajeździe. Przyjmowałaś mężczyzn!!

Joanna:

Przyjmowałam ludzi z towarzystwa!

Artur:

Tak jak obecnie pan von Gerstembergk jest również kimś z towarzystwa.

Joanna:

W równym stopniu co Falk, Goethe, Fernow, Meyer, czy Zachariasz Werner. Cóż masz przeciw temu? Jaki argument? Nic prócz tępej zazdrości. Jesteś nienawistnikiem Arturze. Powinieneś przejść na katolicyzm i zniknąć w klasztorze. Ale ponieważ na taki krok cię nie stać, pozostaniesz zgorzkniały wśród świata. I będziesz znienawidzony przez wszystkich.

Artur:

Świat! Błyszczec choćby przez chwilę w salonie, to dla ciebie świat. Ale to pozory życia.

Joanna:

Daruj sobie. Wiem co sądzisz na ten temat. - „Rozczarowanie, zaprzeczenie, oszustwo”. Czy nie tak tłumaczyłeś to moim gościom? A innym razem tokowałeś - „Własnością świata ludzkiego jest spaczenie moralne, intelektualne, fizyczne, spaczenie pod każdym względem..” Kto może tego słuchać? Goethe nie mógł po tym zasnąć, pani Volpius musiała słać po proszki do aptekarza. A Meyer wpisał mi do sztambucha -

„Twój syn, spowity w wieczne mroki
Tylko z piołunów ciągnie soki”.

Twój pogląd, że nasze życie to jedynie epizod zakłócający spokój nicości, twoja napuszczona retoryka, coż to jest wszystko razem? Powiem ci: fanfaronada błazna, który nie ma nic do powiedzenia w ciekawym towarzystwie i musi na siebie zwrócić uwagę. Ty wyobrażasz sobie, że najświetniejsze umysły Niemiec - Goethe, Fernow, Werner - to twoi uczniowie, których ty masz oświecać i strofować. Nigdy, przez całe życie, nie widziałam żałośniejszego widowiska!!

Artur:

Moja filozofia ma w sobie siłę porażającej prawdy. A że nie zawijam tej prawdy w kokon stoickich pocieszeń, albo w błonę chrześcijańskiego dziewictwa, jest ona trudna do przyjęcia, zwłaszcza przy kartach, winie, plotkach i biskoptach.

Joanna:

Twoja filozofia to worek pozbieranych na gościńcu myśli, zanurzony w kadzi z czarną farbą. Jesteś zarozumiały, pyszny i popędliwy, jak twój ojciec. Boisz się i nienawidzisz życia i chciałbyś, żeby tak myśleli wszyscy.

Artur:

Nigdy tego nie pojdziesz. Tak jak nie pojmywałaś szlachetnej duszy mojego biednego ojca. Nawet to, że zostawił ci majątek zapewniający życie bez materialnych trosk, swobodne, nawet to nie jest w stanie skłonić cię do odruchu wdzięczności i dobrej pamięci.

Joanna:

Otrzymałeś dziewiętnaście tysięcy talarów kapitału i sto talarów dodatkowej rocznej dywidendy z naszych dóbr pod Gdańskiem. Sądzisz, że moja i Adeli część są większe?

Artur:

Sądzę, że mój biedny ojciec nie zasłużył sobie na taki los. To ty doprowadziłaś go do zaprzeczenia woli życia.

Joanna:

Twój ojciec sam zaprzeczał życiu wielokrotnie, zanim podszedł do otwartego okna. Pierwszy raz zrozumiałam to w Londynie i byłam przerażona!

Artur:

W Londynie on był raczej przerażony twoim uporem.

Joanna:

Zawsze byłam mu posłuszna. Nawet, gdy trzeba było opuszczać Gdańsk. On miał tam tylko interesy, ja miałam matkę, siostry, ojca i przyjaciół. On ze swoją pustką w sercu mógł żyć gdziekolwiek.

Artur:
Zmieniłaś się.

Joanna:
Nie wiem co to może znaczyć w twoich ustach.

Artur:
W towarzystwie opowiadałaś wiele razy jak chętnie i bohatersko dzieliłaś z nim wygnanie z Gdańska.

Joanna:
Wygnanie? Twój ojciec nie uciekał przed Prusakami, ale przed własnym lękiem. Gdybyśmy tam zostali, może wszystko potoczyłoby się inaczej...

Artur:
Teraz lubisz mówić, że Gdańsk to podupadła, prowincjonalna wschodnia dziura.

Joanna:
Bo to prawda. Życie jest tu, w Weimarze.

Artur:
Życie jest wszędzie takie samo.

Joanna:
Już dobrze, dosyć. Zatem wyjeżdżasz.

Artur:
Do Drezna.

Joanna:
Mimo wszystko życzę ci szczęścia.

Artur:
Ja ci nie mogę tego życzyć. Nie ze złej woli. To, co dla ciebie stanowi szczęście, dla mnie jest oczywistym nieporozumieniem. Żegnaj matko.

Joanna:
Żegnaj Arturze.

*Artur wyjmuje list Joanny z kieszeni, kładzie go na stole, wychodzi nie patrząc na matkę. Joanna bierze list do ręki. Przegląda go.
Do salonu wchodzi Goethe.*

Goethe:
Droga przyjaciółko, co tu się dzieje?

Joanna:

Mistrzu, przepraszam, trochę jestem dziś spóźniona. Siadaj proszę, zaraz zejdą się wszyscy.

Joanna podchodzi do drzwi.

Joanna:

Adelo! Adelo!! Pan Goethe już przybył! Chodź prędko i baw gościa.

Joanna wraca ku Goethemu.

Joanna:

Przepraszam, pójde dopilnować służącej.

Goethe:

To ja przepraszam, przyszedłem o trzy minuty za wcześnie. Pytając - co tu się dzieje, miałem wszakże co innego na myśli. Kiedy wchodziłem, zderzam się z Arturem. Pędzi jak strzała. Pytam go, dlaczego taki jest wzburzony. A on, wyobraź sobie droga przyjaciółko, mówi do mnie tak: - „Należy rozważyć, panie tajny radco, co gorsze jest dla lampy - czy kiedy zostanie zgaszona, czy też kiedy nikt jeszcze jej nie zapalił”.

Joanna:

Ach, znowu te jego filozofie.

Goethe:

Ależ to peryfrazą z Seneki.

Joanna:

Oczywiście. On sam niczego jeszcze sam nie stworzył

Do salonu wchodzi Adela. Dyga grzecznie Goethemu. Goethe uśmiecha się do niej, mówi jednak dalej do Joanny.

Goethe:

Mówię do niego - stój młody człowieku, niosę coś dla ciebie, ale on krzyknął tylko że wyjeżdża i że napisze do mnie list.

Joanna:

Cały Artur. Tak, przepraszam, muszę dać dyspozycje.

Joanna wychodzi.

Adela:

Mistrzu, wolno cię zapytać, co przyniosłeś dla Artura?

Goethe:

Ach, tak niewiele, że prawie nic Kiedyś mnie prosił o wpis do sztambucha. Przygotowałem myśl dla niego.

Adela:

Czy wolno wiedzieć jaką?

Goethe:

Naturalnie moje dziecko, naturalnie.

(z pamięci)

- Jeśli chcesz cieszyć się swą wartością
Musisz sam nadać wartość światu.

Adela:

Och, to cudowne. I jakie głębokie.

Goethe:

No cóż, słowa przeznaczone do sztambucha twojego brata, wypowiedziane zostały w tym salonie. Teraz, kiedy wybrzmiały, są już tylko cząsteczkami powietrza, które drgały zbyt krótko, aby je pamiętać.

Muzyka.

W ostatnim ujęciu widzimy Goethego, który łaskawie pochyla się nad szkicem Adeli. Adela objaśnia mistrzowi rysunek. Goethe uśmiecha się, kiwa głową, kładzie dłoń na głowie dziewczyny.